

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Ś. p. ADOLF PAWIŃSKI.

Dajemy wam dziś wizerunek zasłużonego bardzo człowieka, który zgasł w sile wieku, a z którego dziełami zapoznacie się później gdy dorosniecie, gdyż prace jego należą do takich, co nigdy nie pójdą w zapomnienie, ale równą zawsze będą miały wartość za lat dziesiątki jak i dzisiaj.

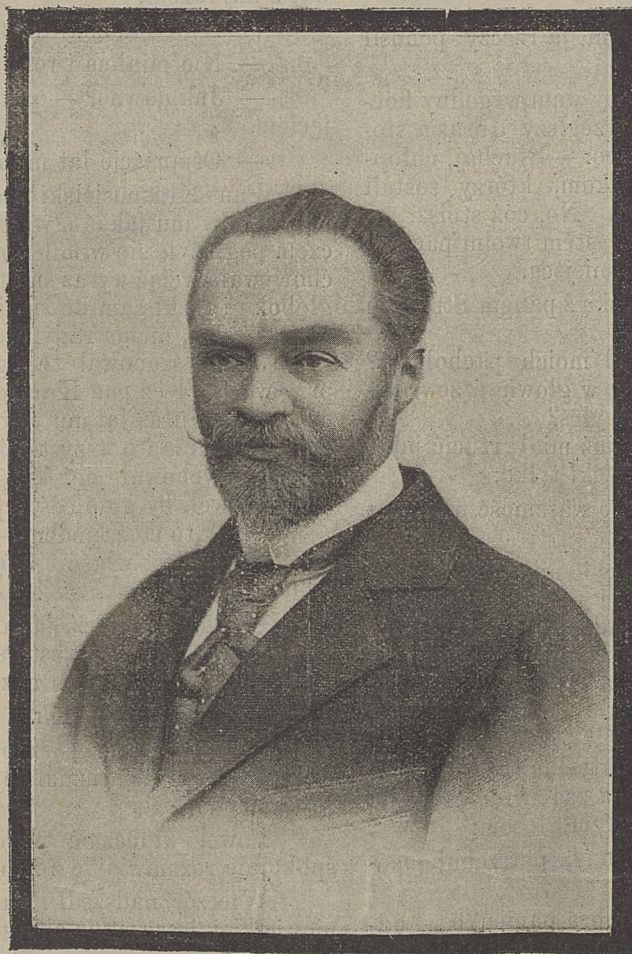
Ś. p. Pawiński był niezmiernym badaczem źródeł dziejowych, i rozświetlił wiele bardzo mniej znanych momentów i urzędzeń. Spis dzieł jego jest długi, tembardziej, że każde wymagało niezmierniej i umiejętnej pracy. Szczególniej poświęcił się w ostatnich czasach swego życia badaniu sejmików, ich składu, znaczenia, oraz wpływu na sejmy. Odkrył też źródła bardzo dawne, bo sięgające jeszcze XIV wieku i opracował je w sposób ściśle naukowy, opierając się zawsze na dokumentach. Gdy poznacie je, wówczas zrozumiecie dopiero jak liczba dzieł Pawińskiego jest zadziwiająca, skoro pomyślimy, jakich to badań, jakiego mozolnego ślęczenia nad dokumentami było do nich potrzeba, a jakąż trudność przedstawiało wynalezienie tych dokumentów. Książkę poczerpniętą z wyobraźni napisać łatwo, ale książka historyczna wymaga wielkiego przygotowania naukowego, oprócz samej pracy przygotowawczej, a ś. p. Pawiński tak doskonale znał dzieje przeszłości, że w każdej epoce obracał się jakby we współczesnym świecie.

A nietylko zajmował się pisaniem, bo jeszcze w Szkole Głównej a następnie w Uniwersytecie był profesorem historii powszechnej, a wykłady jego odznaczały się wielkim wdziękiem i przystępnością,

Od r. 1875 był naczelnikiem Archiwum Królestwa Polskiego, a Akademia Umiejętności w Krakowie mianowała go swym członkiem. Naturalnie, że przy tak licznych obowiązkach i namiętnem prawie zamiłowaniu pracy, Pawiński był przeciążony i nie zważał na zdrowie, nie pozwalając sobie odpoczynku nawet wóczas, gdy mu go przepisywali lekarze.

Ciężko chory od dwóch lat, powinien był koniecznie zaniechać wszelkiego umysłowego zajęcia, ale jemu spieszo było kończyć to co rozpoczął, aż wreszcie życiem przypłacił niestrudzoną pracę.

Umarł w sierpniu r. b. mając tylko lat 56, ale umiał używać czasu, skoro tak wiele przez te lata dokonał. Cześć uczonemu i zasłużonemu historykowi.



Adolf Pawiński.

ODZYSKANY

POWIEŚĆ

przez

Marysę Łopissańską.

(Dalszy ciąg).

Juras pobiegł natychmiast, w parę minut przyniósł wodę w blaszanym kubku. Paniątka podziękowała mu skinieniem głowy, poczem przyłożyła ojcu do ust kubek z wodą prze-mawiając łagodnie:

— Pijcie, tatusiu, ja wam głowę podtrzymam.

Juraś przykleknął by jej w tem pomódcz. Stary szlachcic napisał się, nabrał siły i uniósł się nieco z ziemi. Spojrzał na Jurasia klęczącego przy nim obok córki i zapytał:

— Coś ty za jeden, chłopczco?

— Jam z oddziału pana Wreszczatyńskiego — odrzekł Juraś.

— A więc z milicyi — nie jesteś tedy szlachcicem?

— Nie.

— Dziwne, jednak wcale na chłopca nie patrzysz — odparł szlachcic, przyglądając mu się przy świetle ogniska, które płonęło w pobliżu i rozlewając szeroko blask dokoła. W tej chwili przybliżył się Janusz; skoro oko jego padło na leżącego, zawołał zdumiony:

— Wuju, a wyście tu skąd się wzięli? Nikt mi dotąd nie powiedział, że znajdujecie się pomiędzy odbitymi jeńcami. I Dusia tutaj — dodał, ujrawszy panienkę.

— Bogu dzięki, nie rozłączono nas z sobą — odparł szlachcic, biorąc córkę za rękę. Wrócimy razem i będziemy odbudowywać nasz dom spalony.

— Nie sądziłem, że czambuły aż tamtędy się zapędzą — rzekł Janusz. Myślałem, że spokojnie sobie siedzicie w swoim dworze, nie spodziewałem się wcale takiego spotkania. Ale wyście ranni, wuju?

— A, ot, któryś psawiara ścigany przez naszych, kiedy nie mógł wraz z mną przebyć wpływ Dniestru, ciął mnie przez łeb handżarą ze złości, że traci jeńca. Szczęście jeszcze że mu się broń w rękę zwinęła, ale i tak mi się dobrze dostało. Ale co tam, gdy mam moją dziewczkę przy sobie, już na nic się nie skarżę. Bóg łaskaw, że mi jej nie uprowadzili gdzie do Krymu...

— Nie mówcie już, tatusiu, bo się zmęczycie — upomniała Dusia.

— Nic mi nie będzie, nie takim ja rzeczy ponosił w mem życiu.

— Zaraz zawołam moich ludzi, żeby wam wygodny nocleg przyrządzili — rzekł Janusz, spostrzegłszy Jurasia stojącego na boku, ozwał się doń rozkazująco: — Słuchaj, chłopcze, pójdziesz i powiesz moim pachołkom, którzy zostali przy koniach by tu przyszli natychmiast. No, cóż stoisz?

— Waszność zapominasz, że nie jestem twoim pachołkiem — odparł Juraś nie ruszając się z miejsca.

Janusz rozdrażniony jeszcze utarczką z panem Strusiem poskoczył ku niemu gniewny i zawołał:

— A cóż to ty jesteś lepszego od moich pachołków? Że cię pan poręcznik pochwalił, to ci się w głowie przewróciło? Myślisz, że coś lepszego jesteś niż byłeś?

Juraś pobladał na te słowa i już, już miał rzucić jakiś wyraz gwałtowny, ale się pohamował i rzekł tylko:

— Czym lepszy czy nie lepszy, to waszność nie masz prawa mi rozkazywać...

— Otóż ja ci pokażę, że mam, chłopie nikczemny! — zawołał Janusz nie posiadając się z gniewu i porwał się jak gdyby chciał się rzucić na Jurasia. Niewiadomo do czego byłoby doszło, bo Jurasiowi także oczy się zaiskrzyły i krew w nim zagrała, ale Dusia na ten widok podeszła szybko do Janusza i wzięła go za rękę mówiąc półgłosem:

— Januszu, ja cię proszę, daj pokój!

Młodzieniec spojrzawszy na nią, natychmiast pohamował się i cofnął zawstydzony nieco. Ona zaś zwróciła się do Jurasia mówiąc swym łagodnym, proszącym głosem:

— Panie żołnierzu, mój ojciec ranny, potrzebuje spoczynku, czy nam odmówicie pomocy?

— Zrobię wszystko, co każecie, dobra panienko — odrzekł Juraś, pochylając przed nią głowę, ujęty jej głosem, pełnym serdecznej jakiejś dobroci. Chcecie, to zawołam zaraz kilku z naszego oddziału i przyrządzimy dla was nocleg wygodny.

— Dziękuję, Bóg wam to wynagrodzi, że macie litość nad rannym i cierpiącym człowiekiem.

Juraś pobiegł natychmiast by zawołać kilku żołnierzy, z pomocą których zbudował rodzaj szałas, gdzie umieszco-

no na noc rannego szlachcica wraz z córką, która go na krok nie odstępowała.

Nazajutrz rano, pan Wreszczatyński na prośbę szlachcica dał mu swoich dziesięciu ludzi, aby go odprowadzili do domu; między nimi znajdował się Paweł i Juraś, którego dziwnie coś pociągało do tej rodziny i sam prosił, by mu pozwolono jej towarzyszyć. Dowiedział się teraz, że szlachcic nazywał się Krasnosielski i mieszkał w Nichiniu. Właściwie zagony tatarskie nie rozciągały się aż tamtędy, tylko jakiś zbłąkany czambuł wpadł i zrabowawszy dwór uprowadził pana i służbę w niewolę. Pan Krasnosielski czuł się już dziś lepiej i leżał na wozie dobrze wysłanym, obok na koniu jechała córka, co chwila zapytując ojca, czy go nie męczy droga.

— Ej, nie — odpowiadał dość silnym głosem — nic mi nie będzie, za parę dni ozdrowieję zupełnie, bo mi już dziś głowa wcale nie ciąży.

Janusz pozostał jeszcze w obozie, żegnając tylko serdecznie wuja i Dosię; spostrzegłszy Jurasia przy wozie, spojrzął na niego gniewnie i obaj zmierzyli się wzrokiem z daleka lecz nic nie rzekli. Mała gromadka ruszyła w drogę. Pogoda sprzyjała, więc się posuwano szybko o ile na to pozwalała miejscowość nierówna i wzgórkowata. Juraś trzymał się wciąż niedaleko wozu, aby w razie potrzeby usłużyć rannemu oraz pannie. Stary szlachcic znudzony widąc podróżą wdał się z nim powoli w rozmowę. Wypytywał go skąd pochodzi, czy ma rodziców.

— Nie mam, wielmożny panie; nasza chorągiew znalazła mnie w stepie i przybrała za syna. Matka moja, uciekając z jasyru, zmarła w drodze i gdyby nie oni, byłbym zginał z nią razem.

— A ile lat miałeś wtedy?

— Nie miałem i roku jeszcze.

— Jak dawno? — pytał szlachcic, z coraz większym zajęciem.

— Ośmnaście lat mija właśnie.

Pan Krasnosielski spojrzął na chłopca i przytknął oczy, jakby mu jakaś myśl bolesna przeszła przez głowę. Poczem pogrążył się w milczeniu czas niejaki, a twarz jego zachowywała wciąż wyraz smutku wielkiego. Wreszcie westchnął głęboko i rzekł sam do siebie:

— Ha, niema rady, wola boska!

Juraś szanował tę jego zadumę i jechał w milczeniu przy wozie, lecz pan Krasnosielski począł sam go wypytywać na nowo. Juraś jął mu opowiadać o Pawle, Steńce, Krystynie i Bandurze i o wszystkich tych ludziach, wśród których wzrósł i wychował się. Wśród tej rozmowy podjechał do niego Paweł, by go o coś zapytać.

— A to co za jeden? — zagadnął szlachcic.

— To jest właśnie mój opiekun, ojciec przybrany, który mię wychował.

— Dziwna rzecz, jak on podobny do mego pachołka, co mi zbiegł przed dwudziestu sześciu laty — mruknął szlachcic do siebie. A jak się on nazywa — pytał Jurasia.

— Paweł Wakulak.

— To on sam — szepnął do siebie pan Krasnosielski. Postarzał się, ale poznałem go od razu. Mieszkałem jeszcze wtedy w Werbce.

Paweł widocznie nie domyślał się niczego, bo jechał spokojnie rozmawiając z żołnierzami.

Wieczór nadszedł i na nocleg zatrzymano się w wiosce niewielkiej, jeszcze nie zburzonej przez Tatarów. Pan Krasnosielski nad czemś myślał głęboko. Kilku z jego sług, uwolnionych z łyków, dognało go w drodze i znajdowało się przy nim, między innymi podstarość Trzaskowski. Szlachcic kazał go zawołać do siebie.

— Mości Trzaskowski, czyś się przyjrzał uważnie tym ludziom, których nam dał pan Wreszczatyński za eskortę.

— Sprawiedliwie mówiąc to jeszcze nie miałem czasu na to — odparł podstarość głosem grubym.

Był to człowiek niemłody już, barczysty i silny, z twarzą niemłą i ostrym wyrazem w oczach.

— Ano, to radzę, przypatrz się temu co przed chwilą stał tu przed chatą, bo to jest mój dawny poddany Paweł Wakulak.

— O, nie może to być! — wykrzyknął Trzaskowski —

— Ja ci powiadam, że tak jest, nawet nazwiska nie zmienił; poznałem go odrazu.

— Toć tego zostawić tak nie można! — zawołał podstarość w oburzeniu. Toć to niesłychane są rzeczy.

— Poczekaj panie Trzaskowski, trzeba pomyśleć nad tem. Nie bądź mi znów tak bardzo o niego... tyle lat już upłynęło...

— A, wielmożny panie, mnie się widzi, że takiej rzeczy darować nie można, bo tem się ośmiela innych chłopów do zbiegostwa. Ja już i tak z nimi poradzić sobie nie mogę — wszystko to wzdycha, jakby najprędzej ująć w stopy i tam prowadzić swobodny żywot.

— No, no, obaczym jeszcze jak z tym się postąpi.

Nazajutrz, ludzie eskortujący pożegnali pana Krasnosielskiego i odjechali, gdyż byli już niepotrzebni; bo służba, rozproszona dotąd, ścigała się ze wszech stron i towarzyszyła panu.

Paweł i Juraś jechali razem na przedzie. Paweł był zamyślony i od czasu do czasu kiwał głową.

— No, no — rzekł wreszcie — nie spodziewałem się takiego spotkania!

— Jakiego spotkania? — spytał Juraś.

— Dawne to czasy, jeszcze wtedy byłem młody; byłem poddanym pana z Werbki i służyłem na jego dworze za pacholka...

— Wy, ojcze?

— Ja. Mój brat, Andrzej, był jeszcze wtedy małym zupełnie; rodzice pomarli, a mnie wzięto na służbę dworską. Gorzkaż ona była! Na pana narzekać nie można, dobry był, ale podstarości, to dopiero była sztuka! Służba pod nim to istne piekło! Kiedy w końcu mi już bardzo dokuczyła, tak zabrałem się i uciekłem daleko w stopy, aż za Dniepr i nie powróciłem w nasze strony aż po wielu latach. Andrzej także poszedł za moim przykładem gdy dorósł i spotkał się z sobą niedługo po moim powrocie. Myślałem już, że mój pan Krasnosielski umarł, aż tu teraz natknąłem się na niego niespodzianie. Byłbym go jednak nie poznał, bo bardzo się postarzał, sądziłem też, że to jaki jego krewniak, tego samego nazwiska, ale podstarościego, pana Trzaskowskiego poznałem od razu, bom go dobrze zapamiętał, a on jak widział, także przez cały ranek ze mnie oka nie spuszczał. I kto by to myślał, że się zetkniemy z sobą po tylu latach?

I Paweł pograżył się w myślach.

Po paru dniach wojsko i kupy zbrojne zostały rozpuszczone do domu, Paweł z Jurasiem powrócili więc także na futor, gdzie ich Steńka z radością powitała. Gdy jednak Paweł opowiedział jej o spotkaniu z Trzaskowskim, zlekka się i rzekła zafrasowana:

— Pawle, a jak oni o tobie się wywiedzą i aż tutaj przyjdą.

— Ot, durna baba dopiero! A z kąd oni się dowiedzą że ja tutaj mieszkam? Nie zaczepili mnie wtedy to i teraz nie, zaczepią.

— Mnie jakoś coś za serce ścisnęło jakieś o tem powiedział. Byle tylko jaka bieda się nie przyplątała.

Paweł ścisnął ramionami na te słowa.

Minął miesiąc od czasu powrotu Pawła. Jednego dnia on i Juraś wyszli w pole, została tylko Steńka. Nagle psy zaszczeptały i na podwórzu zjawił się jakiś dziad obdarty. Steńka wysła, niosąc mu kawał chleba i spostrzegła, że dziad rozglądał się uważnie dokoła, wreszcie zapytał po zwykłych podziękowaniach za jałmużnę:

— Wszak to futor Pawła Wakulaka?

— Tak. A czego chcecie od Pawła?

— A nic, tylko mi ludzie mówili, żeście bardzo gościnni

i dobrzy i nikogo głodnym nie wypuscicie. Bóg wam widać szczęści, bo widzę, że posiadacie piękną chudobę.

— A chwalić Boga, niczego nie brak. Może spoczniecie u nas na przyzbie?

— Nie, nie, dziękuję, muszę iść, by przed nocą zajść do Bakoty. Ostańcie z Bogiem.

I dziad powłókł się dalej o kiju, ale Steńka spostrzegła że skoro odszedł kawałek, zatrzymał się na szczycie skały i jeszcze raz obejrzał uważnie położenie futoru. Niepokój jakiś znów ją ogarnął i skoro Paweł powrócił, opowiedziała mu zaraz wszystko.

— A może być bardzo, że łotrzyki jakowś nasyłają tu nam swoich szpiegów na wywiady — rzekł Paweł — ale ja tam się nie boję! Mamy czem się obronić przed nimi, chwala Bogu.

Nazajutrz, o zachodzie słońca ludzie z pola powrócili, a pastuch przygwał właśnie bydło z pastwisk i poił je w rzece. Ostatnie czerwone promienie oświecały jeszcze wierzchy skał, gdzieś od lasu wołała turkawka, świerszcze polne ćwierkały w trawie jednostajnie, zresztą spokój głęboki panował w jarze, kiedy nagle psy poczęły szczekać gwałtownie. Paweł przysłonił ręką oczy i spostrzegł na ścieżce gromadkę jezdnych. Postępowali jeden za drugim, a ten co jechał na czele, wpatrywał się pilnie w dno jaru. Jaskrawe promienie słońca świeciły tak mocno, że z powodu ich blasku, Paweł nie mógł z razu rozpoznać nowoprzybyłych. Aż dopiero gdy spuścili się niżej, zawołał przytłumionym głosem:

— Pan Trzaskowski!

Tymczasem jeźdźcy przybliżyli się no futoru. Był to rzeczywiście pan Trzaskowski, a z nim kilkunastu uzbrojonych pacholków. Podjechali przed wrota i stanęli. Paweł wyszedł naprzeciwko nim i pokłonił się; podstarości zaś kiwnął głową i krzyknął rozkazująco:

— Hej, wrota otworzyć!

— Chciałbym w pierw wiedzieć, z czem przybywacie, ze złem, czy też dobrem? — rzekł Paweł spokojnie.

— A to usłyszysz zaraz. Jesteś Paweł Wakulak — tak czy nie?

— Toć się swego imienia nie zapieram.

— A mnie czy poznajesz?

— Oho, poznałem was odrazu, jam was dobrze zapamiętał, miły panie!

— Więc nie zaprzeczasz temu, żeś poddanym pana Krasnosielskiego, zbiegłym przed dwudziestu sześciu laty?

— Na cóż zdałoby się zaprzeczać? Wybyście nie uwierzyli.

Tymczasem parobcy zaciekawieni poczęli się gromadzić. Juraś także się zbliżył.

— A więc jeśli tak, to wracaj do pana i proś o przebaczenie, a może on ci daruję ucieczkę twoją.

— Eh, panie podstarości, z was taki niby rozumny człowiek, a tego nie pojmujecie, że chyba głupi porzuciliby po dobrej woli swobodę i dostatek, by wrócić do dawnej niewoli. Bądźcie pewni, że żywym mnie stąd nie weźmiecie.

— To twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie — odrzekł Paweł spokojnie.

W parę godzin potem, księżyc wszedł ponad jarem, biały i cichy i oświecił drogę od lasu, po której szedł człowiek jakiś. Był to Krystyn. Skoro się przybliżył do futoru, zadziwiła go głucha cisza, zalegająca go. Psy nie szczekały na jego przyjęcie, nic nie dało znaku życia... Nagle rozbite wrota uderzyły wzrok jego.

— Jezus, Marya! a tutaj co się stało? — zawołał z przerażeniem — Czyżby Tatarzy? — przemknęło mu przez głowę — ale nie, Tatarzy zostawiliby po sobie tylko zgłiszczą dymiące... tutaj nie było widać wielkich śladów spustoszenia.

W tej chwili coś, jakby jęk doleciało do jego ucha. Obrócił się i spostrzegł w kącie podwórza Steńkę bladą, z rozpuszczonym włosom, klęczącą nad ciałem Pawła, rozciągniętą na ziemi.

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Jak wielkie znaczenie mają korale na naszej planecie, możemy wnioskować z tego, że w oceanie Spokojnym znajdu-

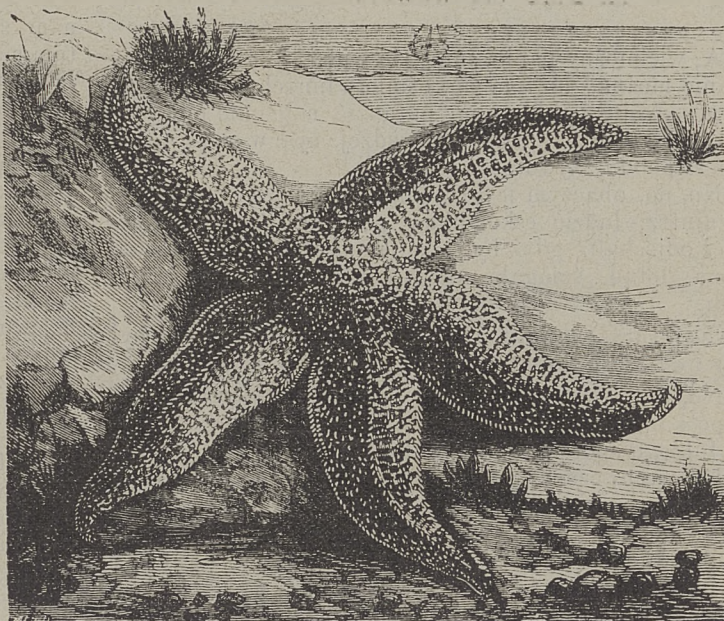


Fig. 39. Gwiazda morską, pospolita w morzach europejskich.



Fig. 38. Koral czerwony z morza Śródziemnego, powiększony.

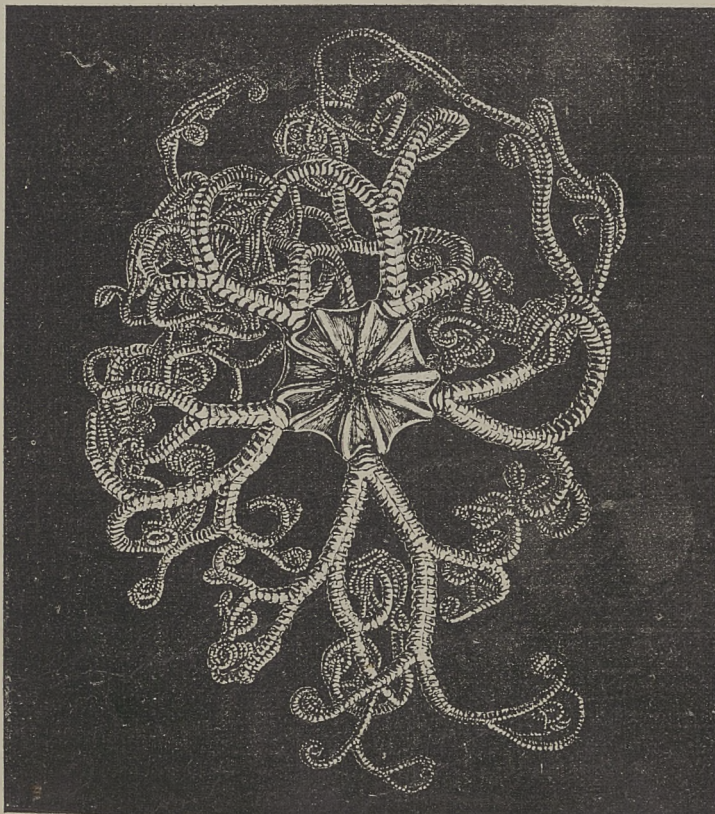


Fig. 40. Rozczochraniec (Asterophyton) połowa wielkości naturalnej.

je się 290 wielkich wysp koralowych, które zajmują 50,000 kilometrów kwadratowych, a drobnych wysepek nie próbowano nawet liczyć. A przecież wyspy koralowe znajdują się także w oceanach Atlantyckim i Indyjskim. Pomiędzy Australią i Nową Gwineą, w tej części oceanu, która otrzymała specjalną nazwę morza *Koralowego*, niezliczone miliony polipów zbudowały olbrzymi mur koralowy, mający około 1,500 kilometrów długości, zwany Wielką Baryerą; utrudnia on wielce marynarzom przystęp ku wybrzeżom Australii.

Rafy nie są wyłącznie zbudowane z koralu, do wzrostu ich przyczyniają się także wydzielające wapno *mszycowioły* i wodorosty wapieniowate. Jednocześnie inne zwierzęta, jak mięczaki, szkarłupnie i robaki wświdrowują się w koralową masę i zostawiając w niej swe skorupy, przyspieszają wzrost rafy.

Korale budujące rafy i wyspy, należą przeważnie do

— Co tu się stało, na Boga; mów kobieto — zawołał Krystyn.

— Zabili go! — odrzekła głucho Steńka i poczęła znów zawodzić, a echa jaru powtarzały owo zawodzenie, które jakoś dziwnie posepnie rozlegało się w ciszy nocnej.

— Gdzież parobcy, gdzie Juraś — pytał dalej Krystyn, wstrząsając kobietę za ramię.

— Uciekli... rozbiegli się... Juraś? Nie wiem... może także zabity... — odrzekła na pół nieprzytomna.

— Ale któż tu był?

— Ludzie pana Krasnosielskiego.

— Aa, teraz rozumiem — rzekł Krystyn, który słyszał od Pawła o jego spotkaniu. Niespokojny o Jurasia, począł go szukać wszędzie. Spostrzegł go wreszcie: leżał zemdłony za węglem chaty. Skoro Krystyn skropił mu twarz zimną wodą, otworzył oczy:

— Juraś, dziecko moje, dzięki Bogu, że choć ty żyjesz! — zawołał Krystyn.

Juraś podniósł się, a rzuciwszy dokoła okiem, przypomniał sobie wszystko, ukrył twarz w dłoniach, a z piersi jego wydarły się łkania.

— Ojczy Krystynie, zabili go, zabili! — zawołał z boleścią.

— Opowiedz-że mi, co się stało, jak to było? — dodał Krystyn.

Juraś uspokoiwszy się nieco, zaczął opowiadać wszystko co zaszło po przybyciu podstarościego na futor i jak Paweł otrzymał strzał, który go powalił bez życia.

— A cóż potem? pytał Krystyn skwapliwie.

— Potem ja strzeliłem do podstarościego i zdaje się, że go zabiłem — mówił Juraś — zresztą nie wiem, bo jeden z pacholków uderzył mnie po głowie czekaniem i nic już przed sobą nie widziałem...

(d. c. n.).

rodziny *tołpiów* (*Madreporaria*) nader obfitej w gatunki; do rodziny tej należy również *rozkonarek* przedstawiony wyżej na fig. 35 i 36. Korale zakładają budowle tylko tam, gdzie znajdują odpowiednie dla siebie warunki. Przedewszystkiem potrzebują ciepła i dla tego rozwijają się jedynie w takich miejscach, gdzie w najzimniejszym miesiącu w roku, woda morską miewa po 20 stopni ciepła. Prócz tego korale lubią żyć jedynie w płytkiej wodzie; zauważono, iż największa głębokość na jakiej zakładać mogą swe budowle, nie powinna przewyższać 37 metrów; niżej żyją tylko pojedyncze korale. Lubią one również wodę słoną, czystą i silnie poruszoną i dlatego osiedlają się blisko skał lub brzegów, o które morze gwałtownie uderza, a nie żyją nigdy u ujścia rzek, gdzie woda jest zawsze mętna.

Koral czerwony używany w biżuterii jest również wapienną koralowiną, zabarwioną na czerwono; jest on rzadszy od innych gatunków i ceni się drogo z powodu pięknej barwy. (Patrz fig. 38). *Koral czerwony* żyje głównie w morzu Śródziemnym, przyrosnięty do skał. Łowią go siecią, o którą on się zaczepia i łamie w kawały. Wyjęte z wody gałęzie koralu okryte są mięsistą skórą, w której siedzą polipy. Aby przygotować koral do handlu, zdzierają z niego miękką skórę i polewiają środkową twardą część gałązki.

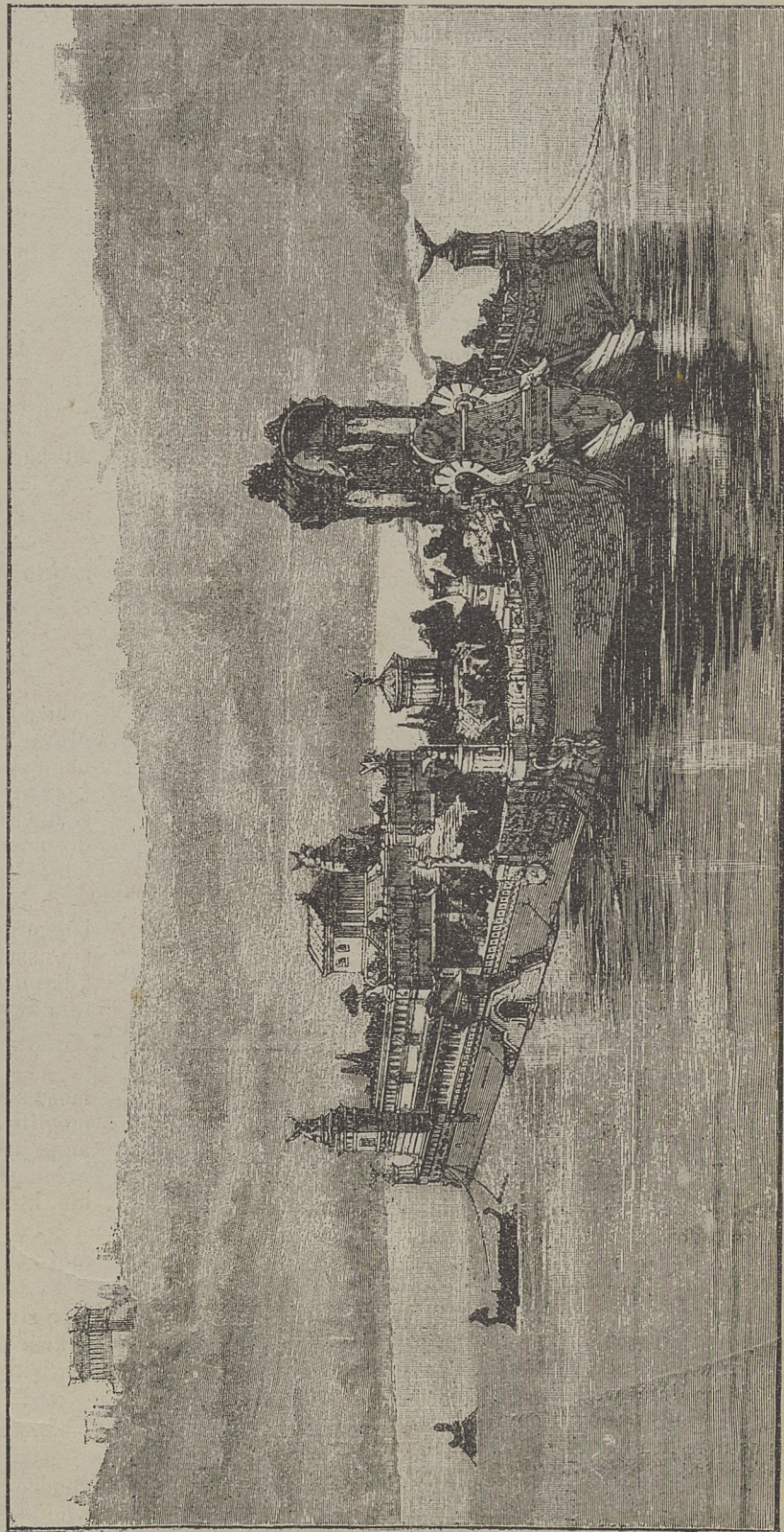
W czasie przyływu morza rafy koralowe są najczęściej nie widoczne, gdy następuje odpływ, żyjące na rafie korale wynurzają się z wody, nie umierają one hynajmniej, gdy są wystawione na powietrze. Oczom widza ukazuje się wtedy niezrównanej piękności zjawisko. Nie obeznany z tem podróżnik pomyśli, że przeniesiono go nagle do jakiegoś cudownego ogrodu. Widzi przed sobą nie zwierzęta, lecz istne krzaki okryte jaskrawymi kwiatami, jaśniejącymi wszystkimi barwami tęczy. Tu widzi piękny krzak różowy, owdzie błękitny, a obok niego krzew z zielonemi płatkami, dalej wyrasta drzewko purpurowe i t. p. Wśród tych pięknych krzewów *ukwiaty* rozpostarły swe puszyste macki, pączki przezroczyste jak szkło grają ze sobą; po gałęziach pełzają czerwone gwiazdy morskie, przesuwają się tu i owdzie meduzy, połyskują srebrzyste ryby. Słowem wre tu w całej okazałości życie, ukazując nieskończoną różnorodność kształtów i barw.

Szkarłupnie.

Przystępujemy do opisu innych *zwierzokrzewów*, mających kształty odmienne od polipów, oraz prowadzących inny tryb życia.

Ktokolwiek znajdował się nad morzem podczas odpływu, ten z pewnością widział, że skały wystające z wody okryte są jakby grzybami, jakimiś ciałami mięsistymi, o chropowatej powierzchni, żółtawego lub czerwonego koloru i mających kształt gwiazdy o pięciu promieniach. Zaciekawieni tym widokiem zbliżamy się i pragniemy wziąć do ręki jedną z gwiazd; lecz niepodobna; przyryma się ona mocno chropowatej powierzchni kamienia, jak gdyby przyrosła do niej. Czynimy większy wysiłek, aby gwiazdę oderwać, ale na próżno. Dobywamy wreszcie szczyryka i ostrożnie oddzieramy mięsistą masę od kamienia, a gdy spałnie na piasek, wówczas widzimy, że gwiazda rusza swemi ramionami. A więc to jest zwierzę! wołamy zdziwieni. Istotnie jest to zwierzę, słusznie nazwane *gwiazdą morską* (fig. 39). Przyjrząwszy się uważniej zwierzęciu, dostrzegamy, że na spodniej stronie, wzdłuż każdego ramienia, biegnie rowek, a z niego wysuwa się mnóstwo grubych *nózek*, zakończonych

ssawkami. Właśnie dzięki tym ssawkom, gwiazda trzymała się tak mocno kamienia. Gwiazda posiada kilkaset nówek, jak zresztą wszystkie *szkarłupnie*, do rzędu których ona należy. Nic dziwnego przeto, że najsilniejsze fale morskie nie mogą oderwać tych zwierząt od podłoża, do którego się przy-



Statok Frejane.

czepiły. Naprzykład w Hawrze niektóre skały nadbrzeżne tak gęsto są okryte gwiazdami, iż te symetryczne ciała tworzą rodzaj mozaiki na szarym tle kamienia. Otóż zdarzało mi się widzieć tam nieraz, iż gdy bałwan nadleci w czasie burzliwego przyływu, to z łoskotem uderza o skałę, okrywa ją całą swym zielonym płaszczem. Za chwilę fala odpływa,

a skała wynurza się z wody i jak poprzednio zdobi ją mozaika gwiazd morskich.

Jednakże każdy przypływ morza wyrzuca wiele gwiazd na wybrzeże, są to najpewniej zwierzęta, które pływały w morzu i szukały żeru; wszystkie bowiem gwiazdy morskie są mięsożerne i żywią się przeważnie mięczakami, połykając je wraz z muszlą.

Gwiazdy morskie, a zwłaszcza *wężowidła* z nadzwyczajną łatwością tracą swe ramiona po jednym lub wszystkie na raz, dzieje się to głównie wtedy, gdy gwiazdę chwycimy za jedno z ramion, lub gdy je zranimy, kłując np. szpilką. Gwiazda odrywając od siebie nagle członki, za które ją trzymamy, ratuje się niejako przed niebezpieczeństwem. Dodajmy zaraz, że zwierzę to nie zostanie kaleką przez całe życie, gdyż na miejsce odpadłych członków wyrastają nowe, zupełnie tak jak odrastają nowe gałązki u roślin. I odwrotnie, z każdego odłamanego promienia może powstać całkowita gwiazda, i tu znowu upatrujemy podobieństwo do roślin, u których z jednego kawałka, np. u kartofla, wyrasta cała roślina.

To zjawisko nagłego tracenia członków u zwierząt schwytych, nazwano *autotomią*, napotykaną je i u wyższych zwierząt.

U wielu gwiazd morskich każde z pięciu ramion wypuszcza gałęzie, tak, iż w końcu powstaje płatanina ramion, jak to widzimy u *rozczochrańca* (*Asterophyton*) (fig. 40). Wreszcie istnieją gwiazdy morskie, mające długie i cienkie ramiona, ruszające się szybko jak węże i dlatego zapewne nazwano te zwierzęta *wężowidłami*.

(d. c. n.)

Statek Trajana.

Wiemy, że liczne w czasach wędrówek ludów napady hord barbarzyńskich na piękne ziemie Italii, zwały w pył i gruzy najpiękniejsze pomniki sztuki, jakimi lubili się otaczać moiżni i wszechwładni panowie ówczesnego świata.

Wszystko też cokolwiek się z tej świetnej przeszłości Rzymu ostać mogło, wysoce jest cenionem i skrzętnie poszukiwanem, zarówno z artystycznych jako i archeologicznych względów. Nie dziw więc, że nie lekceważono sobie spotykanych u starożytnych kronikarzy wzmianek, że w pobliżu Rzymu, na dnie jeziora Nemi, nad brzegami którego wznosiła się niegdyś świątynia Dyany, (o czem świadczą pozostałe szczątki ruin), znajduje się zatopiony swego czasu statek cesarza Trajana. Poglaska ta nabrała w końcu XVI w. pozorów rzeczywistości, gdy przypadkiem wyłowiono z nurtów tego lejkowatego jeziora belkę z brązowymi ozdobami, znajdującą się do tej pory w jednym z Muzeów starożytności włoskich.

Polegając na tem, obecny właściciel jeziora, książę Orsini, sprowadził nurków i rozpoczął poszukiwania, a niebawem ku wielkiej swej radości stwierdził, że istotnie zatopione w mule na dnie wód spoczywają resztki monarszego statku, z którego nurkowie wydobyli już świetnie modelowane z brązu postacie lwa i lwicy, stanowiące widocznie części bogatych jego ozdób.

Zachęcony tem książę, w porozumieniu z rządem i miłośnikami archeologii, zamierza poświęcić znaczną sumę na kosztą wydobycia z jeziora całej spuścizny klasycznych wieków Romy.

Z opisów i pozostałych pojedynczych rysunków, odtworzono całość tego statku, który, jak to widać z naszej ryciny, zbudowany był i urządzony wówczas z przepychem godnym cesarowych czasów, a będzie to pamiątka tem cenniejsza, że cesarz Trajan, który panował około setnego roku po Narodzeniu Chrystusa Pana, należał do najsympatyczniejszych

monarchów tych czasów, pełnych grozy i okrucieństw. To też lud rzymski w dowód swego uwielbienia dla rzadkich wtedy cnót sprawiedliwości i męstwa, wystawił mu wspaniałe pomnik, który dotąd jest ozdobą odwiecznego miasta, jako znana na całym świecie „Kolumna Trajana”.

SERBSKA DZIEWCZYNA.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBII W XIV STULECIU

przez

Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Więc Marko w niewoli? — spytała Anka.
— Prawdopodobnie — odparł Milan.
— Pójdę chociażby do siedziby sultana, a zobaczyć go muszę.

— Jeśli pójdiesz, to zemną razem, nie puszcę cię samej — rzekł Milan.

— Sprobuj wstać, przekonasz się, czy możesz iść — rzekła Anka.

Milan wstał, lecz nogi zachwiały się pod nim.

— Daj jeszcze wina, a siły wrócą — rzekł.

Dziewczyna podała mu flaszkę, on wychylił ją do dna.

— Lepiej mi trochę — rzekł i poczęli iść razem szukać jakiego schronienia. Idąc bardzo wolno radzili jak znaleźć Marka, który jeśli żyje, pewno znosi ciężką niewolę, gdy ranego spotykali, zatrzymywali się przy nim, by mu obmyć rany i przynieść ulgę. Tak minęli pole Kosowe, szli milczący obok siebie, smutni i zgnębieni; oboje rozumieli dobrze, iż klęska doznana jest klęską nie tylko hufców, lecz kraju całego i to ich gnębiło..

Nie długo iść mogli, Milan wycieńczony utratą krwi, bólem i głodem, ledwie mógł stawiać kroki, więc zatrzymali się, szukając miejsca do spoczynku. Z daleka widać było kilka drzew a pod niemi zieloną murawę, Anka chciała się tam zwrócić lecz Milan zatrzymał ją.

— Zdaje mi się, że widzę tam kogoś — rzekł.

— Jeśli nie Turka, to tem lepiej — odparła Anka — może się dowiemy, jaka droga dla nas bezpieczniejsza i gdzie moglibyśmy cośkolwiek do jedzenia dostać, bo kobiątka moja już próżna i gdzie znaleźć schronienie. Widzę teraz wyraźnie starca i małe chłopię u nóg jego leżące — odparł Milan, który miał wzrok sokoli.

— Może Turek zabił chłopięciu ojca, a starcowi syna, może chatę im spalił — rzekła Anka — chodźmy do nich.

Na murawie, pod cieniem iglastych drzew, siedział starzec siwowłosy z lirą w ręku, u nóg jego leżała sakwa, na sakwie dziecko spało; starzec trzącał w struny liry, a ciche jej dźwięki roztapiały się w powietrzu.

— Zkąd idziecie ojeze i dokąd? — zapytała Anka, zbliżywszy się do niego.

— Jestem wędrowny śpiewak — odparł zapytany — chodzę od chaty do chaty, brząkam ludziom na strunach, dawne pieśni nucę i ludzie dają mi za to jałmużnę, nią żyję.

— A to wasze wnuczę? — spytała Anka wzrok na śpiącą dziecinę przynosząc — znużyło się nieboże, chciała dodać, lecz w tej chwili poznała Stefanka i serce jej zakolało w piersiach, rzuciła się na kolana przed małym.

— Stefan! mój drogi Stefan! — wołać poczęła — co ty tutaj robisz?

Pocałunki, jakimi obsypała dziecko, zbudziły je, chłopiec otworzył oczy.

— Anka! — wykrzyknął — więc znalazłem cię... Uciekłem z domu żeby ciebie i Marka odszukać, bo w domu smutek i łzy bez was, Bóg pobłogosławił mi.

Zarzucił ramiona w około szyi ciotki.

— A gdzie Marko — dodał — tylko Milan z tobą? wzrok niespokojny zwrócił w twarz dziewczyny.

Anka odgadła czego się lęka, pocałowała go w czoło.

— Po Marka pójdę choćby do samego Adrianopola — rzekła — ty wrócisz teraz do Sawicy i powiesz, że Anka żyje, że wrócę z bratem lub nie powrócę wcale, że na ciemną czuwa i będę cię powitała w pobratymiec Milan.

— A mnie nie weźmiesz z sobą? — spytał chłopiec, patrząc na nią błagalnie.

Ona pogładziła krocze jego kędziory.

— Nas dwoje dosyć — rzekła łagodnie — ty byłbyś nam tylko zawadą, na chłopięta Turcy łakomi, o tobie tylko musielibyśmy myśleć, by nam nie porwali sokołika pohańca. Wracaj do domu Stefanie, tyś powinien rosnąć dla Serbii; zgębeli nas dzisiaj Turcy, lecz jeśli ziemię naszą kochać będziemy, przyjdzie dzień, iż wydzwigniemy ją z niedoli. Powinieneś czekać tego dnia i wówczas służyć Serbii.

Stefanek zamyslił się poważnie.

IV.

Po zamordowanym Amuracie, objął tron syn jego Bajazet; pomścił on śmierć ojca, sprawiwszy rzecz straszną na polu Kosowem, samemu Lazarowi życia nie darował, potem pastwił się okrutnie nad pokonanymi. Mnóstwo wsi i grodów w popioły zamienione wówczas zostały, mnóstwo ludzi do niewoli zagnanych... Bajazet spalił pałac cesarski, świątynie chrześcijańskie w meczety pozamieniał, daniny uciążliwe na Serbów nałożył, a małoletniego syna Lazara, którego Serbowie pod imieniem Stefana VII obwołali swym królem, zmusił do hołdu i haracz nałożył. Nie dość na tem: Serbia musiała odstąpić Turkom kopalnie srebra, a wreszcie jako kraj zależny posiłkować sultana w każdej wojnie, chociażby przeciw chrześcijanom stawić się natychmiast z hufcem rycerzy.

Tak upokorzywszy nieprzyjaciół powrócił Bajazet do Adrianopola, ówczesnej rezydencji sultana. Bajazet okrutny dla wrogów, był jednak czułym ojcem, miał wielu synów i córek. Nad wszystkie jednak dzieci umiłował Fatymę, najstarszą z dzieci, jasnowłosą o błękitnych oczach i cudnej twarzy. Była to jego ulubienica; pieczona przez ojca, psuta przez cały harem, Fatyma zazdrość budziła w każdej jego mieszkance. A jednak Fatyma nie zdawała się być szczęśliwą.

Po dniu upalnym zbliżał się wieczór pogodny, Fatyma spoczywała w rozkosznych ogrodach na kobiercach, pod cieniem fig i pomarańczy, a strój jej złożony z najdroższych tkanin świecił od drogich kamieni. U nóg dziewczęcia siedziała jej piastunka niewolnica, która ją od urodzenia pielegnowała, stara Miryam, zajmująca poważne stanowisko dzięki łasce swej pani. Teraz stroiła ona dla niej lalki, gdyż Fatyma jeszcze bawiła się lalkami, dalej nieco puszysty kot, biały jak łabędź, faworyt sultanki, mrucał i oczy mrużył, obok niego prześliczny chart, nieodstępny córki Bajazeta towarzysz, patrzył na nią zmyślnym okiem; wśród liści pomarańcz i fig skakały dwie zielone papugi o koralowych piersiach i od czasu do czasu wykrzykiwały: „Piękną jest Fatyma...” Dziewczę zdawało się drzemać; Miryam podnosiła od czasu do czasu wzrok na swoją panią, i oganiała z niej muchy i komary pękiem pawich piór, jaki w dłoni trzymała. Naraz Fatyma usiadła.

— Miryam — odezwała się ziewając — starą jesteś, wiesz przeto więcej, niż ja; powiedz czem wystraszyć można nudę?

Piastunka uśmiechnęła się smutnie.

— Dla biednych ludzi jest praca — wyrzekła z westchnieniem — ona nietylko odpędza nudę, ale koję tęsknotę.

— Córka sultana przecież pracować nie może — odparła — znajdź coś, co mi nie przydatnem być może.

— Myślałam, iż Fatyma nie wie nawet co to nuda, — myślałam, że sultanka nie zna tej poczwary, bo dość jej skinąć by posiąść to czego zapragnie, a ojciec różne rozrywki obmyśla dla niej; wczoraj patrzyłaś z okien swego mieszkania na gonitwy rycerzy, dziś statek ma cię powieźć na morze, jutro bajaderki będą tańczyć ku twej ucieście; niema dnia, byś nie miała nowej zabawy.

Fatyma westchnęła.

— Więc może to nie nuda — wyrzekła — czy ja wiem? może to co innego, ale to wiem, że chociaż mnie zazdrości tyle dziewcząt, szczęśliwą nie jestem... Powiedziałaś, że praca nudę odpędza, a co ludziom szczęście daje?

Piastunka namyslała się chwilę. Jakaś myśl błysnęła jej nagle.

— Szczęście dać może tylko dobroć — odparła — bądź dobrą Fatymo, a będziesz szczęśliwą.

— Alboż ja jestem złą? — spytało dziewczę zdziwione — czyż powiem ci kiedy słowo przykre, czyż łaję lub krzywdzę moje niewolnice, czyż ojca, matki, braci i sióstr nie kocham?

— O nie, ty nie jesteś złą, Fatymo — rzekła Miryam — by zasłużyć na nazwę dobrej i przez tę dobroć być szczęśliwą, nie dość jest źle nie czynić, trzeba nakarmić głodnego, smutnego pocieszyć, tym co płaczą łzy ocierać, ale samej to czynić; widzieć jak łza z oka ucieka, jak rumieniec zabarwia twarz głodnego, jak uśmiech na smutne twarze powraca.

— Alboż ja mogę?

— Chciej, a będziesz mogła.

— No chcę, chcę, i cóż z tego?

— Chcesz naprawdę?

— Naprawdę. Ale gdzież są ci nieszczęśliwi i głodni, ja spotykam tylko uśmiechnione twarze.

Miryam wstrząsnęła głową.

— Prawda, ty widzisz tylko jasną stronę życia. Córka sultana zapewne nigdy innej nie zazna. Ale są tacy, którzy nie mają nic z tego co ty posiadasz. Gdybyś chciała rzeczywiście, pokażę ci dziewczę młode jak ty, u której łzy nie osychają.

— Ja chcę ją zobaczyć, ja chcę ją pocieszyć skoro mówisz, że mi to da szczęście.

Stara podniosła się żwawo i oddaliła wśród wonnych klombów ogrodu. Fatyma pogoniła za nią wzrokiem dopóki widzieć ją mogła, potem przywołała charta, ale zamiast się z nim bawić, pozostała zamysłona.

— Co to za dziewczę, pytała samej siebie, czego płacze? czem powrócę uśmiech na jej usta? Może Miryam mi to powie. Jeśli zechce hym jej podarowała lalkę, ptaka, stroje, podaruję z ochotą; ciekawa jestem, gdy ona się rozśmieje, czy ja też będę szczęśliwą?

Gdy tak rozmyśla stanęła przed nią Miryam, a za nią stało młode dziewczę, blade, wynędzniałe, w obcym stroju.

— Kto to? jak ona dziwnie ubrana — zapytała Fatyma, przyglądając jej się z zajęciem.

— Gdy zechcesz, oczy tej biedaczki zaraz staną się wesołe.

— Któż ona? — spytała znowu Fatyma.

— Zapytaj ją sama.

Córka Bajazeta zwróciła się do nieznanomej.

— Pani — zawołała ta ostatnia klękając u jej stóp. — Cóż ci powie moje imię. Dziś moje imię jest: nieszczęśliwa. Pochodzę z nieszczęśliwego narodu serbskiego. Pod Kosowem dwóch moich braci rodzonych ciężkie poniosło rany, trzeci najmłodszy dostał się do niewoli, Marko! Radość oczu i serca starych rodziców. Ja przysięgam, że brata wyzwolę, albo do domu nie powrócę wcale.

— I sama przysięgasz: I nie bałaś się?

— Bóg moją opieką! Szedł ze mną pobratym Marka, ale on ranny i chory leży w chacie litościwych ludzi. Mówiono mi po drodze, że sultan ma córkę piękną, jak gwiazda, którą kocha nad życie; pomyślałam sobie: kiedy piękną jest, kiedy ją ojciec kocha, to i dobrą być musi, pójdę do niej, pochylę się do jej nóg i powiem: ulituj się królowo nad moim bratem.

To mówiąc, Anka złożyła ręce jak do modlitwy.

— O, zlituj się piękna, wróć starym rodzicom syna, modlić się poczęła do Fatymy — Marek młody, Marek piękny, dobry, szlachetny, teraz w niewoli okuty w kajdany musi pracować nad siły. Znęcają się nad nim okrutni dozorczy. Serce pęka gdy się na to patrzy. Ulituj się a będę cię kochała więcej, niż siebie, będę cię słać po świecie szeroko, lecz ulituj się nademną i nad nim.

Fatyma uczuła, iż w sercu jej zawsze spokojnem budzi się nieznane jej dotychczas uczucie — litość... miała ochotę spełnić prośbę dziewczyny, lecz czuła się zupełnie bezradną, więc zwróciła spojrzenie zakłopotane na Miryam i rzekła:

— Cóż ja mogę dla niej zrobić?

— Wszystko — odparła stara z przekonaniem.

— Mogę oddać jej brata?

— Jeśli zechcesz.

— Jakże to uczynię?

— Proś ojca, by ci darował tego niewolnika, a ty darujesz go siostrze.

— Nigdy nie prosiłam o nic takiego. A gdyby się ojciec rozgniewał?

Anka spoglądała na nią błagalnym wzrokiem.

— Nie — zawołała nagle Fatyma — gdy mnie ujrzy szczęśliwą, uczyni wszystko o co poproszę. On mnie kocha.

— Niechaj cię Bóg natchnie i serce ojca przychylnem ci uczyni. Pójdę go błagać by tak się stało — odparła piastuka.

— Fatyma oczekiwała Bajazeta, który zwykle odwiedzał ją przed wieczorem, tymczasem przywołała swoje niewolnice i kazała przynieść sobie najpiękniejszą ze swych szat, śnieżną, srebrnymi gwiazdami naszytą, którą dostała niedawno, bo zauważyła, że Bajazet lubił gdy była tak ubraną i czekała z bijącym sercem. Ojciec zastał ją zarumienioną od niepokoju i wzruszenia, a Fatyma powitała go tak promiennym uśmiechem, jakiego nie widział jeszcze nigdy na jej ustach, choć czynił co mógł, by szczęśliwą była.

— Wyglądasz, jak Izrafil *) — rzekł, całując ją w czoło. — Szczęście bije z twych oczu, jeszcze nigdy taką cię nie widziałem.

— Bo nigdy jeszcze tak szczęśliwą nie byłam, jak w tej chwili nią jestem — rzekła Fatyma.

— I cóż tego powodem?

— Zapytaj „kto” a odpowiem — rzekła Fatyma.

Bajazet spojrział badawczo w oczy córki, lecz nic z nich nie wyczytał; siadł na miękkiej sofie, którą tworzyły jedwabne poduszki, leżące pod ścianą, pieszczochę przyciągnął do siebie.

— Więc któż? — zapytał.

— Nim odpowiem, przyrzeknij mi ojcze, że ci, którzy mi odkryli źródło ludzkiego szczęścia, od dziś wyłącznie do mnie należeć będą.

Bajazet się rozśmiał.

— Przyrzekam — rzekł.

— Że wolno mi będzie zrobić z nimi, co mi się podoba — ciągnęła dalej Fatyma.

— Przyrzekam. Mów córko, mów śmiało. Powiedz jak się nazywa to źródło i gdzie się znajduje?

— Ojcze, to źródło nazywa się dobroć — odparła z uśmiechem Fatyma — a źródło jego jest w sercu.

— A któż cię tej mądrości nauczył — pytał z uśmiechem.

— Nauczyła mnie jej płacząca dziewczyna.

— Mów jaśniej, bo cię nie rozumiem — rzekł Bajazet.

Fatyma przytuliła się do piersi ojca i patrząc mu ciągle w oczy z niemą prośbą, coraz to darząc pocałunkiem, wyrzekła:

— Daruj mi jednego z twoich niewolników.

— Cóż ci po nim. Niewolników masz tylu ilu chcesz.

— Ale ja go chcę mieć na własność, ażeby mógł z siostrą powrócić do starych rodziców swoich — mówiła pokornym głosem; — nie odbierzesz mi tej radości, która takim błogiem uczuciem napełnia mi serce, gdy przypominę sobie twarz smutną biednej Anki blaskiem radości rozjaśnioną, słowa pełne błogosławieństwa, wdzięczności z jakimi zwróciła się do mnie, gdym obiecała wstawić się za bratem. Twoja Fatyma pragnie być dobrą, pragnie dobrze ludziom czynić, bo dobroć sprawia jej sercu radość, o pozwól mi ojcze być dobrą... to mówiąc usunęła się do nóg sułtana i poczęła je całować.

Cóż mógł na to odpowiedzieć ojciec?

— Powiedz mi kto jest ten niewolnik — wyrzekł — ażebym go kazał oddać siostrze.

Fatyma powstała pełna radości całując ojca. Potem klasnęła w ręce. Weszła niewolnica.

— Przyprawdź tu serbską dziewczynę — wyrzekła.

Wkrótce za niewolnicą weszła Anka, zadrzęta, ujrząwszy sułtana i stała nie śmiać podnieść oczu na groźnego władcę. W tej chwili jednak nie był on groźnym, zdjął z palca kosztowny sygnet, podał go drżącej dziewczynie i rzekł.

— Na pierścieniu tym moje imię jest wypisane, on tobie i bratu utoruje drogę przez wsie i grody mego państwa. Brata twego uwolnić każę, wskaż gdzie jest a natychmiast zabierzesz go z sobą.

— Błogosławiony bądź panie łaskawy — zawołała Anka rzucając się ze łzami do stóp jego. — Błogosławioną niech będzie Fatyma, a Bóg, którego czczą tak wyznawcy Chrystusa jak i mahometanie, niechaj wam odplaci po stokroć razy waszą dobroć.

— Powiedziałam ci, że już mi zapłacił — odrzekła Fatyma — spiesz teraz po brata i do swoich, a ja myśleć będę, jak stare twarze waszych rodziców rozjaśnią się widokiem odzyskanych dzieci i nowem szczęściem myśl ta obdarzy moje serce.

— A teraz powiedz mi Miryam — pytała Fatyma starej piastunki po tym dniu radosnym — skąd wiedziałaś o serbskiej dziewczynie.

Cień przeszedł po twarzy Miryam.

— Długa to powieść — wyrzekła.

— Tem lepiej, opowiedz.

(d. c. u).

*) Izrafil, anioł zmartwychwstania u mahometan.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Ś. p. Adolf Pawiński (z portretem). — Odzyskany, powieść przez Maryę Łopuszańską. — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Statek Trajana (z ryc.) — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu przez Teresę Jadwigę. — Dodatek: Pies ukarany (z ryc.) — Rada mędrca, wiersz przez W. G. — Mała Frania i stara Katarzyna przez A. R. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łanigłówni, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

WIECZORY RODZINNE



PIES UKARANY.

(BAJKA).

— Siedź spokojnie! — wołała wróżka.

Bul przysiadł na tylnych łapach, bijąc ogonem o ziemię.

— Czemu ciągle mruczysz, złościsz się? — pytała stara kobieta.

Bul był bardzo brzydki buldog, którego wróżka od małego wychowała szczenięcia. Na jej pytanie pies odpowiedział spoglądając znacząco na drzwi, przyczem czarny spłaszczony nos podniósł w górę i zaskomlał.

— Ach! — westchnęła wróżka — taka zwykła koleja na tym świecie! Pielęgnowałam cię, dogadzałam ci, a teraz chcesz mnie porzucić, nie pomnąc, że gdy wyjdę, nie będzie komu pilnować chaty mojej. Sam nie wiesz czego pragniesz, ale ruszaj w świat skoro ci się tak podoba i sądzisz, że tam będzie ci lepiej.

Na te słowa pies zerwał się gotów już wędrować, stara kobieta przytrzymała go jeszcze.

— Masz tu kość na drogę — rzekła — jeśli w ciągu dnia więcej jak trzy razy z niezadowolenia mruczysz będziesz, utracisz ją bezpowrotnie, ale dopóki ją posiadasz, trzy z kolei wypowiedziane życzenia twoje będą zawsze spełnione.

Buldog uradowany, pochwycił kość w zęby i wybiegł z izby, machnąwszy ogonem na pożegnanie, co w narzeczu psiem znaczy: „dziękuję”.

Zostawiwszy daleko za sobą dom rodzinny pies położył kość na ziemi i zaczął mruczyc:

— Piękny mi podarek! niema nawet na tym gnacie co obgryzać! Jestem nieszczęśliwy, zawsze mnie krzywdzono. Chciałbym zostać psem rzeźnika, miałbym mięsa poddostatkiem.

Zaledwie objawił to życzenie, natychmiast spełnione zostało; buldog z czarodziejską kością znalazł się przed jatką, w której rzeźnik przybrany w szarą bluzę i biały fartuch, ostrzył długi nóż. Bul nigdy jeszcze naraz nie widział tyle mięsiwa, ile go wisiało na hakach wokoło; sądził, że tu już będzie mógł zawsze być zadowolony.

Dodatek do N-ru 38 — 1896 r.

Ale w tej chwili właśnie przechodził ulicą chłopiec w liberyi, prowadząc na obrozach trzy duże, piękne charty, długie ich nosy i zręczne ruchy zachwycały buldoga; zapomniał o mięsie.

— Jestem zawsze nieszczęśliwy i pokrzywdzony — mruczał — poco miałbym zostać pospolitym psem rzeźnika! wolę być takim jak te charty i mieć do usług chłopca w liberyi.

Stało się wedle życzeń jego; znalazł się wraz z cudowną kością swoją w psiarni bogatego pana, i tylko cienie przepierzenie dzieliło go od trzech podziwianych psów myśliwskich. Gdy jednak towarzysze wiedzeni ciekawością przewiesili łby przez zagrodę, ujrzeli nowego przybysza tak zaszepionym, że litując się nad nim zapytali co mu dolega?

— Jakże nie mam być markotnym — odparł buldog wyjąc żałośnie — jestem nieszczęśliwym, upośledzonym stworzeniem! inne psy mają długie, okazałe nosy, a mój tak krótko przycięty, że nie godzien nawet wzmianki. Chciałbym być tak jak wy wysmukły i posiadać nos okazały.

Było to już czwarty raz dnia tego objawione niezadowolenie, a Bul zapomniał, że jeśli więcej jak trzy razy narzekać będzie, utraci czarodziejską kość swoją. W parę chwil później przemieniony został w jednego z tych pospolitych psów, bez żadnej dla amatorów wartości, którego gatunku określić nie można, lubo budowa jego smuklejszą była i nos tak długi, jak go mieć pragnął.

(d. n.)

RADA MĘDRCA.

Do mędrca, co z głębokiej nauki był znany, Dwaj młodzieńcy — snąc żądni osiąść wieniec sławy — Przyszli i tak się ozwał doń: — Mistrzu łaskawy! Wskaż nam zawód najbardziej w świecie zaniedbany, Byśmy współzawodników mając w nim niewielu, Mogli śmielej podążać do swych trudów celu... Mędrzec duma, lecz rychło się z zadumy budzi I rzecze im te słowa: — kształćcie się na... ludzi.

W. G..

Mała Frania i stara Katarzyna.

Frانيا miała siedm lat, szła pierwszy raz do szkoły, odprowadzała ją stara służąca, Katarzyna.

Frانيا była smutna i od czasu do czasu wzdychała. Bała się szkoły, w której nigdy jeszcze nie była.

Stara Katarzyna, uśmiechając się, spoglądała na nią z pod oka, wreszcie położyła spracowaną rękę na ramieniu dziecka i rzekła:

— Masz taką minkę, jakbyś się gniewała na szkołę, a ja dałabym za to dużo, abym tam zamiast ciebie pójść mogła.

— Jakto, wy Katarzyno, chcielibyście chodzić do szkoły? — zawołała Frania, podnosząc główkę.

— Ależ naturalnie — odrzekła stara kobieta — gdybym umiała pisać i rachować, nie byłabym prostą służącą. Mama twoja mówi, że gdybym umiała prowadzić rachunki, zarabiałabym u niej trzy razy więcej niż dziś, a nawet mogłabym sobie założyć sklepik. Ale na nieszczęście gdy byłam małą, nie dbano jeszcze o naukę dzieci, a dziś jakże się tu uczyć? cały dzień pracować trzeba, a wieczornych szkół niema. O moje dziecko, gdybyś ty mogła doić krowy i wziąć moją miotłę, a ja twój koszyczek z książkami, jakżebym chętnie zamieniła się z tobą.

Frانيا spojrzała na swój koszyczek, który nie wydawał się jej wcale tak pożądanym, potem na Katarzynę, i zdawało się jej, że wyraz twarzy starej kobiety jest bardzo smutny.

Wkrótce białe mury szkoły ukazały się na rogu ulicy, Frania postępowała w milczeniu, a miała taką minkę, jakby coś głęboko rozważała. Wreszcie roześmiała się wesoło, a biorąc rękę swej towarzyszki, rzekła:

— Wiecie co, Katarzyno, oto będę się tak starała, będę tak pilną, że się niedługo nauczę czytać i pisać, a jak tylko będę sama umiała, to zaraz zacznę wam pokazywać. Tym sposobem nie będziecie potrzebowali chodzić do szkoły, bo ja za was będę chodziła.

Katarzyna rozrzuwniona dobrą wolą dziewczynki, ucałowała ją serdecznie, dodając:

— Ucz się kochanko, bo to się przyda i tobie i tym wszystkim, którzy cię otaczać będą.

Stały wreszcie u drzwi szkolnych, Frania wesoło weszła do klasy, a stara Katarzyna zamyślona, z głową spuszczoną wracała do domu, do kuchni i do obory, gdzie ją czekała ciężka praca.

Upłynęło parę miesięcy. Katarzyna zapomniała zupełnie o przyrzeczeniu dziecka.

Pewnej niedzieli po obiedzie odpoczywała w kuchni po całotygodniowej pracy, aż tu wchodzi Frania dźwigając szkolną takliczkę, kajecik, kałamarz i pióro.

— Katarzyno! — woła już od progu, czy chcecie abym was uczyła pisać?

— Czy chcę? — odpowiada stara służąca — ależ ja tego tylko pragnę. Więc nie zapomniałaś obietnicy? Ale czy pomyślałaś o tem, że w moim wieku ma się bardzo tępą głowę.

— Ej! pewno nie gorszą jak moja — woła dziewczynka — i nasza nauczycielka bardzo się męczy, ucząc nas.

Postaram się robić tak jak ona. Oto patrzcie! papier, napisałam na nim cały wiersz kresiek na wzór.

Katarzyna wzięła pióro i rozpoczęła się lekcja.

W każdą niedzielę Frania uczyła starą służącą, a oprócz tego codziennie wieczorem, gdy ta pokończyła swoje roboty, odbywała się krótka lekcja przy świecy.

Frانيا naśladowała jak mogła najlepiej nauczycielkę i dumną była z tego. Wkrótce jej duża uczennica

zrobiła znaczne postępy, a po kilku miesiącach pisała i rachowała biegle. Mała dziewczynka zarówno jak stara kobieta były sobą zachwyczone.

— Dziękuję ci moje dziecko — powtarzała po każdej lekcji Katarzyna, a niekiedy dodawała, kiwając głową:

— O, dziś lepiej żyć na świecie niż dawniej, dzisiejsze dzieci bardzo są szczęśliwe!

A. R.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Andeo nie powiedział nic chłopczykowi, ale domyślił się, że w tem nagłym postanowieniu Melci tkwi ręka pani Dumany, i tem więcej ocenił szlachetność serca biednej dziewczynki. Podzielił się jednak z tem, co się dowiedział z panem Dumany, a choć nie wspomniał ani słowa o jego bratowej, ten od razu zmiarkował, że to ona chciała przez ten podstęp usunąć dzieci ze dworu i pozbawić je jego opieki. Nie zrobił jej żadnych uwag, lecz ostatecznie stracił serce do tej zazdrosnej i fałszywej kobiety.

Ale nareszcie trzeba było zbadać chorą dziewczynkę. Melcia miała silną gorączkę. Pan Dumany zajął się leczeniem, ale najskuteczniejszym lekarstwem były jego słowa:

— Pamiętaj, Melciu, że nie pragnę wcale, abyście opuścili mój dom. Postanowienie twoje zasmuciło mnie niewymownie, bo myślałem, że się tu nudzisz i nie umiesz ocenić mojego postępowania.

— Ach, panie — rzekła Melcia — więc nie chcesz się nas pozbyć? Jestem szczęśliwa! Chciałabym pozostać tu przy panu, jeśli pozwolisz aż do końca mego życia. — To mówiąc, niespodzianie chwyciła za rękę pana Dumany i pociągnęła ją do ust. Stary pan wzruszony do łez, ucałował ją w oba policzki i rzekł do wchodzącego Iwonka:

No, mój chłopcze, zostajecie tutaj, tylko teraz nie dokazuj zanadto, żeby nie męczyć siostrzyczki.

Po tygodniu Melcia odzyskała zdrowie, a lekcje ranne z nauczycielem a także czytanie poobiednie z panem Dumany, rozpoczęły się znowu na dobre.

Melcia przykładała się z wielką pilnością do nauki, a najwięcej do rysunków, do których miała wielką zdolność.

Pewnego razu, gdy Iwonek z powodu źle zrobionego zadania musiał je przepisywać dziesięć razy, i nie oddawał się temu zajęciu ze zbyt wielką uwagą, Melcia siedząc przy nim zaczęła rysować piórkiem jakiś dziwaczny przedmiot.

— Ach, to nasza skrzynka z kamyczkami! — zawołał Iwonek.

— Co to jest takiego? — zapytał Andeo, biorąc od niechcienia papier, na którym rysowała Melcia. Lecz spostrzegłszy rysunek, zbladł nagle, aż dziewczynka zapytała, przestraszona:

— Co panu jest?

— Gdzie widziałś tę skrzynkę?

— To nasza skrzynka z zamkniętej skały, były w niej kamyczki różnokolorowe, prześliczne: białe, czerwone, niebieskie i szafirowe, a także sto dwadzieścia pereł, bom je liczyła.

Andeo wydobyl z kieszeni duży, zamykany na kluczyk pugilares, wyjął z niego zżółkły kawał papieru, złożony we czworo. Na tym papierze wyrysowaną była skrzynka, kształtem i ozdobami podobniusia do skrzynki, którą wyrysowała przed chwilą Melcia.

— Kamyczki o których mówiłaś — rzekł Andeo — muszą być dyamenty, szafiry, szmaragdy i rubiny. Ale gdzie znaleźliście ten skarb?

— W zamkniętej skale — zawołał Iwonek — w skale mewy. Ta skrzynka musiała tam być oddawna, bo jest bardzo brudną!

— Ale jakim sposobem nikt jej przedtem nie odkrył?

— Bo nikt tam prócz nas nie wchodził — odparł dumą Iwonek — a jeśli pojedziemy po tę skrzynkę, to mogę się założyć o dwa karmelki, że pan nie znajdzie wejścia do tej skały i my panu sami przyniesiemy tę skrzynkę.

— Przepraszam pana — rzekła Melcia — ale chciałbym bardzo wiedzieć, jakim sposobem pan posiada ten rysunek i do kogo należą skrzynka i kamienie?

— Poczekaj Melciu — zawołał Iwonek — ja wpróż poproszę naszego pana, bo trzeba żeby i on posłuchał tej ciekawej historii!

Wkrótce posłyszano na schodach ciężkie kroki pana Dumany, który wszedł do pokoju, trzymając za rękę Iwonka.

— Co to za bajki opowiada mi ten chłopiec — rzekł — kiedyś skarby, skrzynka, dwa rysunki, nic nie rozumiem.

Objaśniono go i opowiedziano wszystko.

— Śliczna skrzynka — powiedział — sądząc z ozdób musi pochodzić z XVI wieku, ale któż to rysował?

— Jeden rysunek zrobiła Melcia z pamięci — odpowiedział Andeo — drugi zaś jest dziełem mego pradziada, który z generałem Lafaytte pojechał do Ameryki. Ostatnim liście, pisanym do rodziny, do którego załączony był ten rysunek, oznajmił, że przypadkiem stał się posiadaczem tej skrzynki, napełnionej drogiemi kamieniami, wartości około dwóch milionów franków, że skrzynka musiała być zostawioną przez Hiszpanów w XVI wieku i że teraz, jako człowiek bardzo bogaty pojechał do kraju, do swoich ukochanych. Przytem opisał szczegółowo ilość i gatunek klejnotów. List kończył się ni słowy: Za miesiąc odpływam na okręcie Astrolabia, jeżeli Bóg pozwoli, wkrótce was uścisknę...

— Możecie sobie wyobrazić z jaką radością wyczekwała prababka powrotu męża. Ale Astrolabia nie przyjechała nigdy, i jak się dowiedziano z poszukiwań późniejszych, rozbiła się u brzegów Bretanii.

— Myśmy widzieli, jak się pański statek rozbił — przerwał Iwonek — a nawet wyrzuciło nam morze dużo sucharów i masła, które z początku było bardzo cenne.

— Cicho bądź, Iwonku, jak śmiesz przerywać panu!

— Prawda, źle zrobiłem, ale chciałem mu dać wskazówkę.

— Myśl twoja była słuszną, mój mały — odpowiedział nauczyciel. — Ale Astrolabia zatonała w 1766 roku, a teraz mamy rok 1869. Nie mogłeś więc widzieć niebezpieczeństwa, którego ofiarą padł mój pradziad.

— Ale przecież ta skrzynka, którąśmy znaleźli, to była skrzynką pańskiego pradziadka, a jeśli... należała do niego, to znajdowała się z nim razem na statku, który się rozbił... A żeśmy, Melciu, widzieli statek, co się rozbił...

Tu Iwonek zaczął się coraz bardziej płatać.

— Czekał, chłopcze — rzekł pan Dumany — pozwól teraz mówić twojej siostrze. Niech starsi zrozumieją wpróż tę historię.

— My — rzekła Melcia — znaleźliśmy tę skrzynkę przypadkiem w zamkniętej skale i zakopaliśmy ją w mulę. Teraz trzeba nam tam pojechać i oddać skrzynkę jej właścicielowi.

— Dzieweczka ma rację — odpowiedział pan Dumany. — Dwa miliony, to nie żarty, można za nie kupić trzy takie posiadłości jak Landes. Trzeba ten skarb co najprędzej oddać panu, jako spadkobiercy właściciela.

— Ależ ten skarb należy teraz do tych, co go odkryli — rzekł Andeo.

— Panie, pan chyba żartuje — zawołała Melcia — wszystko należy do pana.

Andeo uśmiechnął się zamiast odpowiedzieć.

— Damy panu połowę, panie Andeo — rzekł poważnie Iwonek — kamyków tych jest tak wiele, że wystarczy nam trojgu do zabawy.

— Masz rację, ty jeden rozumiesz prawdziwą wartość rzeczy — rzekł pan Dumany. — Ale teraz musimy obmyślić plan naszej jutrzejszej podróży.

Po wspólnej naradzie postanowiono, że pojedą swymi końmi, powozem i przenocowawszy w miasteczku L. nazajutrz pod wieczór staną we wsi P., a stamtąd piechotą udadzą się do poblizkiego Ploumanach, o szarej godzinie, aby nie wzbudzić podejrzeń i niepotrzebnej ciekawości mieszkańców, oraz nie narazić się na zatargi z karczmarką, która poznawszy Melcie i Iwonka, może zechcieć ich odebrać.

— O ja mam sposób, żeby mnie nikt nie poznał — zawołał Iwonek.

— Cóż zrobisz?

— A czy Jo jedzie z nami?

— Ma się rozumieć, będzie nam koniecznie potrzebny.

— To Jo zaczerni mi twarz sadzą i będę jego synem.

— Zabawny chłopak, tylko uczerń się dobrze, żeby ci nie zeszło w drodze.

Iwonek z tryumfem pobiegł do kuchni.

Nazajutrz o dziesiątej rano czterokonny powóz z furmanem Piotrem na koźle, czekał przed gankiem. Wsiadł do niego pan Dumany z Melcią, ubraną i wyglądającą jak prawdziwa panienska. Andeo siadł na przednim siedzeniu. W tej chwili ukazał się na ganku duży Murzyn, a za nim mały murzynek, czarniejszy jeszcze od dużego, z twarzą błyszczącą, jak dobrze wyczyszczony but. Byli

to, Jo i Iwonek, powitani szalonym śmiechem reszty towarzystwa.

— Tylko nie siadaj przy nas w powozie — rzekł pan Dumany — bo wszystkich uczernisz.

(d. c. n.)

~~~~~  
S Z A R A D A.

*Pierwsze* jest nutą śpiewną z drugim zaś u ludzi,  
Jako nazwa świątyni cześć głęboką budzi.  
*Drugie* z pierwszym w przeprawie straszne dla żeglarzy,  
Wywołuje niepokój i bladeść na twarzy.  
*Trzecie*, jest to zaimiek, który w każdym kraju,  
Służy trzeciej osobie męskiego rodzaju.  
*Wszystko* wraz jest tytułem, co w długich kolejach,  
Dziś już tylko wspomnieniem pozostaje w dziejach.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ułożył Pajączek.

Ż . b . k . z k . n . . . s k . k . ł .

T . b . n . z k . n . . . z ł . m . ł .

T . m t . l k o B . g s . . . p . k . j . ,

K t . s . . . d . w . l . j . g . s t . s . j . .

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

\* \* \* \* \* Ułożyć 7 wyrazów 9-cio  
\* . . . . . głoskowych, aby litery o-  
\* . . . . . znaczone gwiazdkami u-  
\* . . . . . tworzyły nazwę słynnego  
\* . . . . . włoskiego bandyty. Rząd  
\* . . . . . 2: Przedpotopowe zaginione  
\* . . . . . zwierzę. 3) Jezioro w  
\* . . . . . środkowej Ameryce. 4)

Kraj w Afryce. 5) Nazwa części Galicji. 6) Miasto portowe we Francji. 7) Mieszkaniec gór Kaukaskich. Sylaby: Ri—i—ni—a—lo—dun—o—nal—gua—ka—bis—do—kier—se—di—no—ra—sy—me—ka—ty—ni—don—gua—nia—rya—niec.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Zagadki: P a j ą k.

Krzyża magicznego:

G N  
e i  
G e n e w a  
N i e m e n  
w e  
a n

Niteczki Aryadny:

Wszystkie nasze codzienne sprawy  
Przyjm litośnie Boże prawy!  
A gdy będziem zasypiali,  
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Skrzynka do listów.

*Józio B.* dobrze czyni, że nie zraża się pierwszym niepowodzeniem i nowe łamigłówniki układa; wytrwałością tylko dojść można w życiu do zamierzonego celu, a ta wytrwałość potrzebna nam nawet w najdrobniejszych rzeczach. Widzimy, że *Józio* w tym względzie robi postępy; rebusy dość zręczne są ułożone, tylko w zagadce zaszła pomyłka, inaczej bowiem pisze się i wymawia nuta muzyczna, a inaczej wymienione drzewo. W każdym razie dziękujemy za poświęconą nam pracę, nie możemy przecież przyrzekać spieszego drukowania zależne to jest bowiem od różnych okoliczności i kolei w jakiej inne łamigłówniki odbieramy.

*Ułanowi* z T. przesłaliśmy brakujące numera. objaśnienie dotyczące się żądanej książki udzielić dopiero wtedy będziemy mogli, gdy *Ułan* nadeśle nam dokładniejsze określenie tytułu i wiadomości: czy to książka ma być ilustrowana? Przesłane łamigłówniki dobrze ułożone, zagadki tylko zbyt są łatwe i nie zostawiają czytelnikom pola okazania domyslności.

*Świerczek, Wiolonczelista, Czesław i Bronisława* dobrze rozwiązyli zadania z poprzednich numerów.

Uważnym chłopczykiem jest *Kazio L.*, skoro zauważył, że miód mniej ulega zepsuciu niżeli inne spiżarniane zapasy. Istotnie od tego zepsucia zabezpiecza go znajdujący się w nim w małej bardzo ilości, kwas mrówczany, pochodzący z żądła pszczoł, którym bronić się zwykły od napaści. Owe żądła, choć małe, tak dzielną jest bronią, że owad niemi opatrzone służył niegdyś ludziom do odparcia nieprzyjaciela. W XVI wieku zdarzały się wypadki, że roje pszczoł z ulami zrzucano na wrogów z twierdzy, lub z murów oblężonego miasta, a te kasały tak zażarcie, iż zmuszały napastników do ucieczki.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odnowieniu opłaty na kwartał IV-ty za:

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie kwartalnie złr. 2. — W Poznaniu kwartalnie m. 3.

S Z K O Ł A

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej

przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Malarstwo i rysunki pod kierunkiem artystów malarzy: Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Kurs rysunków półrocznie: rs 12. Kursa otwarte 10 września.

Hortensya Nr. 7.